

Autor: Tomasz Kołodziejczak

Tytuł: Czaszki przodków

Nagrodzone w konkursie "Fantastyka '90"

Z "NF" 6/92

Rząd koślawych chałup, glinianych obórek i solidniejszych nieco spichrzy ciągnął się wzdłuż błotnistej drogi. Zajrzeli do jednej z chat przez szpary w oknie zabitym deskami. W środku panował ład i porządek. W pustych stodołach nie pozostawiono żadnego zwierza, choć resztki zeszłorocznego zboża zalegały polepy, a beki z kapustą stały po kątach. Coś wszystkich mieszkańców tej wsi wypłoszyło z domów, zmusiło do odejścia. Nie wojna chyba ani zaraza, żadnej też magii nie wyczuwali Przewodnicy, gdy tak wędrowali od chaty do chaty. Więc w końcu znudziło im się to zwiedzanie. Wieś pusta albo nie - pierwsza to ludzka siedziba, jaką widzieli od trzech tygodni.

Konie stąpały powoli, ostrożnie stawiając kopyta na podmokłej ścieżce. Kończyły się roztopy, słońce z każdym dniem mocniej prażyło skórę. Ptaki wiły gniazda, obudziły się niedźwiedzie, gubiły sierść lisy, wilcze hordy rozlażyły się po lesie. Ciężko jest w taki czas wędrować, ale i

pięknie, gdy każdy poranek przynosi świat inny,

cudowniejszy.

Wyjechali ze wsi podkarmiwszy pierwaj konie dobrym sianem.

Mądre wierzchowce czuły, że zbliża się cel ich podróży, więc

zwawiej zaczęły przebierać nogami. Minęli obsiane pole,

leśną przecinkę przygotowaną na wypalenisko, trzyletni może

młodniak. Drożyna wiła się między wzniesieniami, omijała

wielkie głazy, wyrzynające się z ziemi niczym zęby olbrzyma.

Las ustępować zaczął miejsca krzewom i pełgającemu zielsku,

coraz więcej szarych szpiców wznosiło się ponad wierzchołki

drzew. Ścieżka wiodła ku jednemu z nich, szczególnie

wysokiemu. Z początku to niknął, to pojawiał się między

drzewami, potem, gdy jeźdźcy zbliżyli się do niego, nie

chowal się już za lasem - stał szary i potężny, zryty przez

deszcze i wiatry.

Kociej zmarszczył brwi w zdumieniu.

- Schody!

Wyjechali z lasu na trawiastą równinę. Tu droga się

rozchodziła. Szerszy i częściej chyba uczęszczany trakt

wiódł dalej, prosto na południe. Wąska ścieżka prowadziła ku

podnózu góry. Jeźdźcy, nie namyślając się wiele, skręcili w

tamtą stronę. Teraz wszystko widzieli jak na dłoni - wykute

w skale stopnie prowadzące coraz wyżej, do kolejnych półek.

Po tych zaś dojść można było do czerniejących otworów

jaskiń.

- Czujesz coś? - spytał Jeżon.

- Żadnej magii. A ty?

- Tylko padlinę. Stamtąd.

Na stojącym u podnóża skały kamiennym ołtarzu leżały ciała ubitych zwierząt. Ilu i jakich - tego wędrowcy już by nie powiedzieli - zbyt wiele kruków obsiadło truchła, obżerając się ofiarnym mięsem.

- Składają ofiary i nie stróżują... - Kociej pokręcił głową.

- Widać nie ma tu głodnych kmięci - Jeżon zeskoczył na ziemię. - Popilnuj koni.

- A ty co?

Jeżon wskazał palcem na czubek góry.

- Nie ma mowy. Smędor jeden wie, co w tych lochach siedzi.

- To właśnie jest ciekawe. Może tam zebrano skarby jakieś...

- To by tu stały trzy setki strażników.

- ...albo wota, skóry gryfów, smocze zęby...

- W Skardii smoki nigdy nie żyły.

- ...to może mnisi pustelnicy wielce uczeni...

- Ci by nie pozwolili całych wołków na ofiarę oddać.

Ale Jeżon już szedł ku skale. Przebiegłszy trzynaście

stopni, stanął na pierwszej galerii. Wąska na pół kroku ścieżka wiodła wzdłuż ściany, zaś skalne stopnie prowadziły wyżej. Jeżon spojrzął na siedzącego na koniu Kocieja. Nie powinni tu tracić czasu. Lecz czyż Mądra Pani nie kazała im poznawać przemierzanych krain? Jeżon wspiął się na drugie piętro. Dalej nie próbował wchodzić, coraz stromiej tam było, a stopnie wilgotne od porannego deszczu. Łatwo kark skręcić. Ruszył wzdłuż galerii. Wykuta drożyna wydawała się gładka, wyślizgana, Jeżon przycisnął się więc do chłodnego kamienia i uważnie patrzył pod nogi. W końcu stanął przed pierwszym z otworów. Drewniana, wysoka na trzy stopy barierka zagradszała drogę w głąb jaskini. Zaś w środku lochu, tam gdzie ledwo już docierały promienie słońca, majaczyły kości. Chwila jeszcze minęła, nim oczy Jeżona przywykły do półmroku.

Obok starego ludzkiego szkieletu leżała czaszka, człowiecza niechybnie, lecz o dziwnym kształcie.

- Hej! - Jeżon przywołał karczmarza. - Zdrożyliśmy się.

Chętnie bym się obmył. A potem zakosztował dziewczek.

- Ooo - oberżysta uśmiechnął się szeroko. - Tego ci, panie, u nas dostatek. Zaraz nastawię wrzątek i przyślę ci jedną...

- Wiesz co - zamyślił się Jeżon. - Od dawna jesteśmy w

drodze. Przyślij mi dwie.

- Natychmiast, panie - karczmarz spojrział pytająco na

Kociej. Rycerz kiwnął palcem, a gdy oberżysta zbliżył się, powiedział:

- Mój towarzysz lubi rude dziewczki. Ale zmęczy ci je tak, że przez trzy dni nie spojrzą na chłopca.

- To przyślę czarne.

- On lubi i czarne.

- Mam białowłose.

- Za tymi wprost przepada.

- To źle, moje dziewczyny muszą być wypoczęte - karczmarz zamyślił się. - Jak rozumiem, twój druh, łaskawy panie, lubi dziewczki chude, ale nie gardzi grubymi, przepada za młódkami, ale dojrzałym niewiastom nie odmówi, uznaje piersiaste, lecz płaskich też mu szkoda.

- Zgadłeś - Kociej wyszczerzył zęby w uśmiechu. - I wszystkie jednakowo maltretuje.

Kociej ciężko wsparł się o ścianę i spod półprzymkniętych powiek obserwował ludzi w oberży. Ciepło, zapach piwa, smak wina, wszystko to rozgrzewało i usypiało. Wędrowali do Skardii trzy tygodnie, a za mapę służył im wygrzebany w zakamarkach kęczordzkiej biblioteki, kruszący się w rękach strzępek skóry. Ta względnie bezpieczna, choć niewątpliwie

mokra droga przez bagna trwała osiemnaście dni. Potem natrafili na trzy osady, wszystkie opuszczone. Dalej jechali zamieszkałymi już ziemiami. Nie gadali z nikim, zmierzali wprost ku stolicy Skardii - Kartoszy. Znaleźli tu przyzwoity, choć drogi nocleg. A ponieważ na poszukiwanie Ziarna Czasu zamierzali wyruszyć dopiero jutro, wieczór dzisiejszy zostawili sobie na odpoczynek i przyjemności.

- Twój druh, panie, jest już zajęty - oberżysta znów stanął koło Kociejka. - Czy ty również...

Nagle drzwi karczmy otworzyły się. Do środka weszło pięciu rośliwych mężczyzn. Ubrani w grube, skórzane kurtki, uzbrojeni w pałki i małe, okrągłe tarcze, już na pierwszy rzut oka wyglądali groźnie. Ruch w gospodzie zamarł w jednej chwili, stuknęły odstawiane na stoły kubki, umilkł gwar rozmów, śmiechy.

Dowódca grodowych rozejrzał się po sali, jego wzrok zatrzymał się na Kociejku.

- Tam!

Wędrowiec poderwał się z ławy.

- Jeżon!

Błysnął w ogniu kaganka wyciągnięty jednym ruchem miecz.

Lecz grodowy zachował spokój. Powoli podszedł do rycerza.

- Poczekaj, panie - powiedział szeptem. - Mamy cię

jedynie doprowadzić do Wielkiej Świątyni. To rozkaz

Wielebnego Orszy.

Za ścianą rozległ się krzyk. Trzask pękającego drewna, tupot, łomotnięcie, jakby ktoś prasnął o ziemię workiem z piaskiem. Kocieją drgnął.

- Panie, nic złego nie mogło się stać twojemu druhowi.

Pozwól z nami i nie stawiaj oporu, a nie spotka cię żadna krzywda.

Kocieją zmierzył ich wzrokiem. Nawet jeśli uda mu się przedrzeć przez strażników, co zrobi potem? Zresztą, zaprowadzić go mają do kogoś ważnego. O to przecież chodziło od początku. Powoli wsunął miecz do pochwy i odstąpił od ściany.

Czarnobrody mężczyzna obserwował oddział grodowych, odprowadzający Kocieją i Jeżona. Potem, szybkim krokiem, ruszył ku stajniom.

W pałacu Orszona panował półmrok. Dziesiątki oliwnych lampek rozpędzało wpełzającą przez wąskie okno ciemność wieczoru, oświetlając komnatę i przepiękne malowidła pokrywające ściany. Tam potężni wojownicy krzyżowali swe miecze, zwycięscy wodzowie stąpali po ciałach pokonanych wrogów, ścigane przez myśliwców jelenie mknęły między drzewami.

Nawet teraz, o zmierzchu, a może właśnie dzięki niemu, ścienne malowidła nabierały życia, wydawały się wiernym

obrazem rzeczywistości.

Szli obok siebie - Jeżon, wysoki, barczysty, z długim mieczem u pasa, w kaftanie utkanym w barwy Pani. Jego dłonie pokrywały uroczone tatuaże, naszyjnik z niedźwiedzych zębów zdobił pierś. Obok Kociej, niższy nieco od druha, pozornie węższy, lecz nie ustępujący mu siłą. Jednoręki, prawa rękawica ukrywała dłoń nie ludzką, a stalową. Rycerz nosił miecz u prawego boku. Stateczniejszy od druha i bardziej wygadany, przejmował przewodnictwo, gdy słowem trzeba było obracać, a nie orężem. Znał się na ziołach, potrafił tropić zwierzęta i potwory, czytać z chmur.

Stanęli naprzeciw władcy. Orszon patrzył na nich nie drgnąwszy nawet. Tylko błysk oczu spostrzegł w spowijającym tron półmroku.

- Kto wy? - spytał wreszcie. Kociej wybałuszył na niego oczy, Jeżon z trudem powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem. Starzec mówił cienkim głosem rzezańca.

- Jestem Kociej Maszczyn, herbu Prawiec.

- Jeżon Niegoda, herbu Głygacz.

- Nie pochodzicie z Łosudy ani z Ruczajnych Borów - bardziej stwierdził niż spytał kapłan.

- Rzekłeś, panie - Kociej wziął głęboki oddech. -

Jesteśmy kronikarzami. Wędrujemy po świecie na rozkaz władców Kęczorgi... - zawiesił głos, pytająco spojrzał na

kapłana.

- Czytałem o Kęczordze w starych księgach. Jak się tu dostaliście?

- Przeszliśmy przez bagna, zwane w Olszy Południowymi.

- Szliście przez Wielkie Bagniska? - starzec z

niedowierzaniem pokręcił głową. - Musicie więc władać magią.

- Nie jest nam obca. Tak jak i robota mieczem.

- I spotkaliście pewnie niejednego przeciwnika godnego waszej magii i miecza.

- Ciała wszystkich pochłonęła woda.

- A więc i wodne stwory potraficie zabijać? - kapłan zamyślił się.

- Rzecz jasna, panie. Potrafimy zwalczać utopce i topieluchy, bogunki i mamuny, poświętniki i połamańce...

- A siapce?

- Nie spotkaliśmy żadnego na naszej drodze - powiedział

Kociej po chwili zastanowienia. Powoli zaczynał domyślać się w czym rzecz. - Ale mamy Biały Ogień. Więc i siapcowi byśmy podołali.

- Dostrzeżono was przy Skale Przodków. Czego tam szukaliście?

- Wszystkiego, panie, jesteśmy kronikarzami...

- A coście znaleźli? - następował kapłan, nie zrażony odpowiedzią rycerza.

- Groby. Dziwne groby.

- Czemu dziwne?

- Bo ciała tam chowano bez głów, a głowy bez ciał.

Wymoczone w specjalnych wywarach kości zmarłych przed setkami lat i czaszki, co ze skóry niedawno zostały obrane.

Dziwne czaszki - ludzkie, choć o nieludzkim kształcie.

Zapadła cisza. Rycerze słyszeli spokojny oddech Orszona, skwierczenie płonącego w kagankach tłuszczu, bicie własnych serc. Czego od nich chce ten starzec o głosie dziecka?

Przywiedziono ich tu bocznymi uliczkami tak, by jak najmniej ludzi zwróciło uwagę na konwój. Bez chwili zwłoki poprowadzono ich przez dziedziniec zamkowy do wieży. Przed jej drzwiami zmienili się strażnicy - grodowych zastąpili uzbrojeni w miecze niewolnicy kapłana. Sześćset czterdzieści dwa stopnie - Kociej policzył to dokładnie - prowadziły do tej sali. Orszon już czekał. Tak, jakby przybycia Przewodników spodziewał się od dawna. Czyżby to on miał Ziarno Czasu?

- Zbliźcie się - powiedział Orszon.

Twarz starca wyłoniła się z półmroku: długa broda, ostry nos, przenikliwe oczy. To władca, władca posługujący się magią, choć może nie znający wielu jej sekretów. Prosty miedziany wisior zdobił jego szyję, skórzane branzolety opasywały nadgarstki.

- Oszukaliście mnie, rycerze - powiedział powoli. - Ale ja nie mam wam tego za złe. Przybyliście tu nie po to, by zapełniać stronice ksiąg równym pismem. Nie do tego wasze dłonie stworzone, by ścisnąć gęsie pióro, nie do tego oczy, by gasnąć latami, wpatrzone w pergamin. Czuję, że sprawiedliwej rzeczy macie dokonać i, choć jej nie znam, zaufam wam, rycerze. Baczcie jednak, byście nie złamali mej ufności - katów trzymam zdolnych i kochających swą robotę. Odkryję wam część prawdy, wy za to powiecie mi część swojej. Przewodnicy spojrzeli po sobie. Szybko, szybko toczyły się wydarzenia. Więc rację miała Mądra Pani, że coś dziwnego dzieje się w Skardii i związek to może mieć z Ziarnem.

- Łamiąc nasze obyczaje wesliście do grobowca przodków. Tam leżą kości praojców klanu Torczyków, każdy ród ma taki grobowiec. Nikt nie wchodzi do jaskiń, a i kapłani oglądają kości z daleka jeno, zza drewnianych żerdzi. Panował przed wiekami w Skardii zwyczaj, że głowy niemowląt ściskano drewnianymi łupkami. To dlatego czaszki wyglądają tak dziwnie. Lecz obyczaj ten zarzucono wiele pokoleń temu. W grobowcach winny leżeć czaszki przodków. Leżą zaś nowe, ukształtowane na dawną modłę tak, by nikt stojący za drewnianą przesłoną nie spostrzegł różnicy. Ktoś od pół roku hańbi grobowce, zabierając dawne czaszki i podrzucając nowe. Skąd u niego te czaszki, po co to robi, no i wreszcie kim

jest. Tego nie wiem, lecz muszę się dowiedzieć.

Oto mój kłopot. Podzieliłem się nim z wami, choć dotąd niewielu na tej ziemi, prócz mnie i złodzieja, miało o całej sprawie pojęcie. Może być tak, jak mówicie - przejechaliście przez bagna. Wiele rzeczy to potwierdza - mowa, do naszej podobna, acz odmienna, i stroje dziwne, i konie wspaniałe. Lecz może to wy jesteście świętokradcami, rycerze?

Orszon zawiesił głos. Czekał.

Kociej milczał. Układał w głowie słowa starca, zbierał je, tasował. Wreszcie przemówił.

- Powiemy ci prawdę, wielebny. Poznasz ją, boś władcą tej krainy, bo zbliża się czas przeznaczenia, gdy Klepsydra Czasu znów się napełni i ludzie poznać powinni nowinę.

Opowiem ci więc wszystko.

Mówił długo. O świecie, co przed dziesiątkami pokoleń inny się jawił niż teraz. O wielkich miastach, warownych zamkach, traktach pełnych kupców, wojennych pochodach, o wiedzy, którą zdobyli mędrzy. Podzielony na krainy, rządzony przez królów i władków, przez klany i zakony, stanowił ten świat jedność. Statki wiozły towary, karawany wozów pełzły po wszystkich gościńcach. Bagna, skaliste zapadliny, ogniste góry nie dzieliły krain. Mniej demonów, mniej duchów, mniej lęgnącego się z ciemności zła znał świat.

Każda ziemia ma swoje Ziarno. W nim skupia się moc tej

krainy, ono pamięta wszystko, co się zdarzyło, ono wyznacza różnice między ludzkimi obyczajami. Przed wiekami wszystkie Ziarna wspólnie przesypywały się w Klepsydrze Czasu stojącej na szczycie Góry Znaków.

Lecz coraz gorzej działo się na świecie. Coraz mniej spokojnych lat było, gdy rolnik mógł bezpiecznie zbierać plony, za to coraz więcej wojen i mordów. Ludzie powstali przeciw sobie i bogom, nastąpiła wojna, jedna i powszechna. Zagniewali się bogowie. Przeklęli ludzi. Poruszyła się ziemia, góry zapadać się zaczęły i wznosić, oceany zalały nadmorskie wioski, topiel bagnisk pochłonęła dziesiątki miast. Pękła święta Klepsydra Czasu, a zesłany przez bogów wiatr rozpędził Ziarna po świecie. Każde wróciło do swojej krainy. Pomiędzy ziemiami pojawiły się bagniska, gdzie lęgną się potwory, podniosły się góry i wyrznęły bezdenne kaniony, z których wypęłza zło. Lecz bogowie ulitowali się nad ludźmi i zesłali na ziemię swych pomocników, naznaczyli wybranych, ustanowili święte miejsca. Mądra Pani włada Kęczorgą, jej pałac stoi u stóp Góry Znaków. To stamtąd wyruszają na świat Przewodnicy. Oni znów mają zebrać Ziarna w jedno miejsce, a gdy to się stanie, połączą się okruchy Klepsydry i jeden czas popłynie dla wszystkich ziem.

- Jesteśmy Przewodnikami - mówił dalej Kociej. -

Otrzymaliśmy od Pani mapy. Powiedziała, że ktoś tu, w

Skardii, zdobył Ziarno i używa go, pojawia się, że niezwykłym ono jest kamieniem. Jesteśmy przekonani, że czaszki kradnie ten sam człowiek, który posiadał Ziarno.

W prawej nawie świątyni zgromadzono wota. Żelazne siekierki i posążki, miecze, tarcze i buńczuki, kły niedźwiedzi, pazury strzyg, napięte na drewniane ramy skóry południc i krwiaków, wypatroszone głowy kaprawców, świeckich i innych stworów. Kapłan wyjaśnił, że wśród tych wot znajduje się też skóra rozszarpiała, ale że rozszarpiele są niewidzialne, to i dojrzyć go nie sposób.

- To stara skóra, przed dwustu laty ubił tego rozszarpiała Kłębotok Grembion. Grembiony to znaczny ród. A gdy kiedyś próbowali do Skardii wejść przez bagna kupcy z południa, to właśnie Grembion Podgardle znalazł ostatniego z nich. Włókł się ten kupczyzna chory, z jednym pustym wozem. Szezęł w Błyszczynie, rodowej siedzibie Grembionów. A to - kapłan wskazał duży dzban; Kociej uważnie przyjrzał się czarnemu naczyniu z wymalowanymi na nim czerwonymi postaciami wojowników - dar Grembiona dla świątyni. A siąpiec niezwykły jest, duży i silny.

- Gębę ludzką ma? - spytał Kociej.

- Tak mówią ci, co go widzieli.

- To źle - mruknął Jeżon. - Znaczą się, rozumny...

- Sami też byście go utłukli, już nawet Torczykowie dwie
wsie przygotowali, żeby się w pustych chatach pochować, ale
wielu mężczyzn by im padło. Ze trzy dziesiątki. Zabijcie
siąpca - odkupicie tym swą wobec Torczyków winę i
przekonacie mnie o prawości waszych słów.

Na dworze szalała ulewa. Wielkie krople deszczu tłukły o
ziemię, drzewa i dachy domów. Żłobiły bruzdy w zaoranych
polach, wrywały liście, łamały gałęzie. Deszcz siekł
nieustannie, mokrym młotem miażdżąc wschodzące zboże,
zwierzęta, co węższe domowe zabudowania.

Ściana deszczu urywała się raptownie, jakby odkrojona
jednym cięciem olbrzymiego noża. Szary mur ciągnął się na
lewo i prawo, po linię horyzontu. Słońce świeciło jasnym
blaskiem.

Naprzeciw ściany, może dwadzieścia kroków od niej, czekał
mały orszak rycerzy. Dwóch konnych - Kociej i Jeżon, a prócz
nich ośmiu piechurów. Tarcze wszystkich pokrywała żółta
farba, na żółto mieli pomalowane hełmy, koniom wpleciono w
grzywy słoneczne wstążki. Kociej i Jeżon siedzieli w
siodłach nieruchomo. Milczeli, bo każdy wysiłek przed takim
spotkaniem jest zbędny. A w deszcz wjechać musieli sami. Nie
starczyłoby im mocy, żeby ochronić wszystkich. Skardyjscy
woje potrzebni byli tylko na wypadek, gdyby pokonany siąpiec

zaczął uciekać.

Deszcz walił wciąż z taką samą siłą.

Siąpiec to jeden z bardziej uciążliwych wodnych stworów, bękart topieluchy, z ojca planetnika. Zwykle siedzi w bagnie, przeżuwał i trawiał resztki ostatniej uczy. W tym czasie ładuje swój worek wodą. Trudne to do pojęcia, że w małym mięsistym worku na plecach siąpca, do którego nie weszłaby i ludzka głowa, może się zmieścić tyle wody. Kiedy siąpiec zgłodnieje i naładuje wór, wyłazi z bagna na żer. Szczególnie gustuje w mięsie wolim i koninie, więc zmierza ku ludzkim siedzibom. A gdy upatrzy już sobie wieś czy osadę - rozpętuje burzę. W jednej chwili woda z jego worka wytryskuje w niebo, a potem zaczyna padać na ziemię. Żaden człowiek nie potrafi zrobić kroku, tłuczony biczem deszczowych kropel. Kiedy więc ludzie siedzą w swych domach, z trwogą czekając na przejście burzy, siąpiec włazi do obór i chlewów. Dwa razy wyższy od człowieka, mocarny w ramionach, rozrywa zwierzęta niczym źdźbła trawy. Ludzi unika, lecz gdy ktoś niebacznie stanie mu na drodze, nie gardzi i człowieczym mięsem. Pokonać go ciężko, bo od siąpca ciągnie siła otępiająca rozum i spowalniająca zmysły. To dlatego tak wielu wojowników ginie w walce z potworem. Jeżon westchnął i spojrzał na Kocieja.

- Jakby mi kto łapał w gardle gmerał - mruknął.

- Mnie też - Kociej kiwnął głową. Kiedy się ruszało na siapca, już dzień wcześniej nie należało brać do ust nic do picia. Znow zapadła cisza. Na miarowy łoskot deszczu dawno przestali zwracać uwagę. W końcu Jeżon wyprostował się w siodle i dał znak ręką.

- Ruszać! Ruszać!

Sięgnął po pochodnię Białego Ognia. Jednym szarpnięciem zerwał otaczający głównię pokrowiec. Blask Ognia jaśniejszy się nawet zdawał od słonecznego. Wjechali w deszcz. Ostatnim dźwiękiem, jaki słyszeli, był okrzyk podziwu piechurów, gdy wodna ściana otworzyła się, spłoszona mocą Ognia. Blask wycinał w szarym murze kształty jeźdźców, powiększone jak poranny cień. Po chwili deszcz zamknął powrotną drogę, tuż za końskimi zadami. Jechali niczym w powietrznym pęcherzu, otoczeni zewsząd wodą, ich wzniesione ku górze pochodnie jak kolumny powstrzymywały przed zwaleniem ciężki, mokry strop.

Kociej lekkim szarpnięciem wędzidła zmusił do jazdy konia, który zwolnił nagle i zarżał trwożnie. Szli na siapca.

Natknęli się na niego na podwórzu dużego gospodarstwa, gdy wytaszczywszy przed oborę pół cielaka, pożerał go ze spokojem. Wokół siapca, tak jak wokół nich, rozpościerał się podobny odwróconemu pucharowi, wolny od deszczu, spokojny

obszar. Ziemia pod kopytami koni była sucha. Tak jakby każda kropla tego potwornego deszczu tuż po dotknięciu trawy wyparowywała nagle, nie zostawiając ni śladu wilgoci.

Wojownicy zeskoczyli z siodła. Zatykając w ziemi dogasające pochodnie, dobyli mieczy. Siąpiec też już ich dostrzegł.

Odrzucił precz niedogryzionego cielaka i wstał. Dwa razy przewyższał ludzi wzrostem, łapy miał do kolan, ciało szare, gąbczaste, pozornie rozpulchłe i miękkie, w rzeczywistości prężne i silne. Tylko głowa potwora miała człowieczy wymiar i kształt.

Uderzyli niemal równocześnie. Kociej ciął poniżej łydki.

Jeżon nie zdążył, bo musiał umknąć przed spadającym łapskiem. Cios mogący zmiażdżyć czaszkę minął się z celem o palec. Kociej znów kłuł - prosto w kolano. Siąpiec ryknął.

Konie zarżały niczym wściekłe, zaczęły kopać i wierzgać, w końcu popędziły wokół areny, na której walczyli ludzie i potwór.

Siąpiec zdołał pochwycić Kocieję. Jego zęby zacisnęły się na dłoni rycerza. Prawej dłoni. Potwór ryknął ze zdziwienia i bólu, puścił Kocieję, odwrócił gwałtownie. Prosto pod ostrze Jeżonowego miecza. Bura posoka popłynęła z odciętej stopy stwora. Zawył. Konie zachryły już od przeraźliwego rżenia.

Powstrzymując ból, Kociej uderzył raz i drugi. Siąpiec zachwiał się, klęknął. Opadł na ramiona, jeszcze spróbował

się podnieść. Jeżon dopadł go w jednym skoku, wznosił miecz do ciosu, uderzył. Chrupnęło, łeb siapca wciąż jeszcze trzymał się ciała, ale krew bluznęła z olbrzymiej rany na karku. Ostatnim wysiłkiem potwór sięgnął swego zabójcę. Przewrócił Jeżona, walnął pięścią wgniatając w ciało rycerza kolczy pancerz. Lecz zaraz mięśnie mu zwiotczały. W tej samej chwili przestał padać deszcz.

Daleko, bardzo daleko, ukryty między drzewami na pagórku leżał mężczyzna. Maść, która umożliwiła jego oczom widzenie na taką odległość, nadała twarzy wyraz obłąkania. Mężczyzna nie był jednak szaleńcem. Gdy walka się skończyła, wsiadł na stojącego nie opodal konia i wjechał w las.

- Dzielnie żeście się spisali - Orszon przygładził dłonią brodę. - Choć biorąc pod uwagę worek, któryście wycięli siapcowi...

- Twoi ludzie, wielebny, bali się nawet podejść do trupa.

- Dobrze, dobrze. Czyn potwierdził prawość waszych słów.

Oto mapa Skardii... - pochylił się nad stołem i rozwinął kwadratowy płat płótna, pokryty setkami wielobarwnych znaków. Zaczął mówić.

Krajem rządzi on - Orszon Czarny, Święty Rzezaniec, Strażnik Biblioteki, Pierwszy Sługa Krzepberga - od dziecka przygotowywany do tej roli przez swego poprzednika. To on

kierował losami Skardii mocą swej potęgi, wspieraną bożą bojaźnią ludu i pałkami gwardzistów. Lecz pokój ten łatwo zburzyć. Kto wie, jaka mądrość zapisana została w bruzdach czaszek dawnych mędrców. Kto wie, jaka magia tam tkwi, jakie bogactwo. Wszystko to może wydobyć z czaszek wprawny czarownik. Uzbrojony w wiedzę przodków zechce sięgnąć po władzę. Zresztą, choćby i nie. Świętokradztwo spowoduje wybuch. Klany i rody wspomną dawne urazy i zaczną szukać winnych. Starsi klanów wbiją krzemienne noże w pnie rozstajnych drzew. Nastanie chaos, podważona zostanie potęga świątyni. Kto nad tym zapanuje? Kto?! Tylko silny może przystąpić do takiej gry. Orszon sądził więc, że winowajcy szukać należy albo wśród upadających na znaczeniu dawnych potęg, albo wśród obecnych siłaczy. W jednym i drugim przypadku należało uważniej przyjrzeć się Wysokiej Radzie. Władza Orszona nad Skardią nie była bowiem absolutna. Trzy razy do roku zbierała się Rada, by rozważać sprawy kraju. Za dwunastobocznym stołem zasiadało czterech możnowładców, kapłani czczonego w Skardii Krzepberegą i przedstawiciele cechów największych miast w kraju. Nikt z nich nie poprze Orszona, gdy ten, bez dowodów, zaatakuje kogoś z Rady. A sam Orszon, choć najsilniejszy ze wszystkich, nie może wystąpić przeciw całej Radzie. Zresztą, po co?

- Kto z nich? - spytał Kociej.

- Wszyscy - powiedział kapłan. - W ciągu ostatnich lat każdy przechodził wzloty i upadki. Świątynie biedniały i rosły w siłę, oszukując ludzi i bogów. Miasta trapione przez zarazy. No i władcy. Ci, niby najpewniejsi w swych siedziskach, też walczą. O wpływy, o potęgę, o to, kto siedzieć ma w Radzie. Na zewnątrz każdy ród to pięść, wewnątrz rój os.

- A może sprawców szukać należy wśród tych, co do grona wielkich dopiero wejdą? - spytał Jeżon.

- Sprawdziłem już wszystkich, których posądzałem. Nie chcę zaś wrywać paznokci tym, których nawet ja nie podejrzewam o żadne przestępstwo.

- Nie wahasz się zabijać.

- Nikt nie zawahał się, gdy odjęto mi męskość. Służę jedynie świątyni i tej ziemi. We mnie uosabia się zagasłe władztwo skardyjskich królów.

- Czy nikt nie strzeże tych skał? - Jeżon uderzył dłonią w stół. - Przez tak długi czas nikt nie zobaczył świętokradców?!

- Nikt nie zbliża się do grobów przodków, a jeśli już, to pozostaje poza grotami. To wiecie. A i pod skałami rzadko i na krótko zjawiają się ludzie - tylko po to, by, raz na sześćdziesiąt dni, złożyć ofiarę. Święte miejsca stoją z dala od osiedli, przeto wiele nocy miał złodziej wyłącznie

dla siebie. A ja nie mogłem się rozpytywać, zbyt wiele by to wzbudziło podejrzeń.

- Trzeba postawić straż. On jeszcze nie wie, że poznałeś prawdę. Znów kogoś wyśle po czaszki.

- Nie. Nie mogę moich ludzi posłać na cudzą ziemię. Trza by przecież obsadzić wszystkie skały, a tego nie uda się dokonać niepostrzeżenie.

- Wielebny ma rację, Jeżon. Człek, co do takiej roboty idzie, truciznę trzyma pod językiem. Jeśli w ogóle języka mu nie wyrwano. Nic nam z takiego jeńca nie przyjdzie. Więc lepiej niech tamten jeszcze nie wie, żeśmy poznali prawdę. Zaskoczmy go wtedy. Nie znaczy to jednak, wielebny, że twoi ludzie mają nie nadstawiać uszu.

- Moi ludzie zawsze nadstawiają uszy, rycerzu.

Słońce długo już wędrowało po błękitnej kopule, wspiąwszy się w południe na jej szczyt, spełzło powoli ku zachodowi.

Czerwieniejąca tarcza skryła się za murami zamku. Trzej mężczyźni rozmawiali dalej, nie zrobiwszy sobie nawet dłuższej przerwy na posiłek.

- Ciężkie to do pojęcia, trzymać tak stu czy siedemdziesięciu choćby niewolnych. Przez osiemnaście lat, po to tylko, by poucinać im łby, specjalnymi łupkami już w dzieciństwie odkształcone, na podobieństwo głów przodków.

Miejsce do tego potrzebne odludne, ale też i od jakiegoś

miasta albo traktu nieodległe. Bo przecież tej setce trzeba dać jeść - dostarczać mąkę, kaszę i mleko. Wyobraźcie to sobie, rycerze - stu ludzi o dziwnych głowach, nic innego od dziecka nie znających jak ciemnica, i wciąż nie pojmujących, po co ich życie w ogóle biegnie.

Znam takie miejsce, rycerze. Na ziemi Maszków, o tu - Orszon pokazał na mapie. - Dokładnie tutaj.

Słońce stało w zenicie, paląc twarze wojowników. Nie mieli jednak zbytniego szacunku dla słońca. W większości krain, w których bywali, kapłani Ognistej Tarczy żyli raczej nędznie.

Podobno za morzem, w kraju piasków, znajdowało się władztwo podległe słońcu. Ale kto by tam wierzył w plotki bezzębnych staruch i karczmianych ochlapusów.

Cały poprzedni wieczór siedzieli nad mapami Maszkowych włości. A że ziemia to spora, przeto i map znalazł się dostatek. Teraz, klucząc i błędząc, powoli zmierzali ku wyznaczonemu celowi. Tu, pomiędzy wapiennymi wzniesieniami, znajdowały się stare kopalnie krzemienia. Dawne wyrobiska i poszarpany teren dawały wiele kryjówek. Ciepły Zakątek, bo tak nazywało się to miejsce, leżał o pół dnia drogi od Potoki - rodowej siedziby Maszków i tyleż samo od ich górskiej fortecy Skotuli. Jeśli Płotniczak hodował niewolników, to tylko tu.

Jeżon oblizał wargi i wydobyl z sakwy małe pudełko.

Wykonane z drewna, jedną ściankę miało szklaną. W środku przelewała się woda, a w niej pływał osadzony na kawałku drewna metalowy pręt.

- Tam - Jeżon wskazał palcem.

- Chyba czas? - spytał Kocieja. Jeżon kiwnął głową.

Wyciągnęli z sakw krótkie płaszcze z ciemnego materiału, zarzucili na ramiona. W chwili, gdy Kocieja zapiął broszę, jego płaszcz gwałtownie zmienił barwę. Czerń przeszła w szarość, a szarość rozbiegać się zaczęła w wiele barw - zieleń i brąz, siność i granat.

Rozdzielili się. Peleryna elfów nie tylko ukrywała Kocieja dla świata. Odkrywała ten świat przed nim. Żadne poruszenie nie mogło umknąć uwadze rycerza. Dostrzegł wiewiórkę przemykającą koronami drzew, zająca, który przycupnął za kamieniem i ptaki zrywające się do lotu.

Słyszał szelest drzew, szum trawy, jęk gniecionych butami patyków, odległy śpiew tańczącej rusalki. Czuł posapywanie gromca śpiącego w dziupli dębu, klekot zębów koszczyzny zwiniętej w kłębek w kamieniu, migotliwy blask płynących w powietrzu, przyjaznych ludziom złocieni.

Kocieja Jednoręki. Wysłannik Pani. Jeden z tych, co przywrócają jedność światu. Teraz, w pelerynie elfów, z mieczem u prawego boku, z magicznymi pierścieniami na

palcach, z amuletami wiszącymi pod bluzą, gotów był walczyć z każdym.

Skały wcinały się w ziemię, wycinały niebo, łamały drzewny gąszcz. Czerniły się wyloty jaskiń i grot rzeźbionych przez wodę, wiatr i młoty niewolnych. W jednej z nich mógł Płotniczak usadowić swój warsztat. To teren wprost wymarzony - góry dające schronienie, wokół bagna zagradzające drogę ciekawskim.

Kociej omijał większość jaskiń. Tam nic nie było, czuł to, widział, słyszał. Zajrzał tylko do paru, jak się okazało, także pustych i nie odwiedzanych przez lata. Nagle usłyszał dobiegające z oddali, ciche, jakby przytłumione pohukiwanie. Mimo to czuł je wyraźnie, tuż przy uchu. Jeżon go wzywał.

Zawrócił, wspiał się na strome podejście, chwilę kluczył między skałami. Wreszcie odnalazł Jeżona. Kociej odpiął broszę płaszcza. Poczul pot spływający po czole, ciężar własnego ciała, miękkość nóg. Zwalczył tę słabość, która przychodziła zawsze po zdjęciu peleryny elfów.

Weszli do środka w długi, ciemny korytarz. Kociej sięgnął do zawieszanej na szyi torebki. W dłoni pojawił się blady ognik. W migotliwym blasku dojrzeli ślady młotów, dawno temu kruszących tę skałę. Potem drogę zagroziła im stalowa, zardzewiała krata. Jeżon pchnął ją, weszli do środka dużej

jaskini. Znać tu ludzką rękę. Przegniłe belki opierały się o ściany, zwoje łańcuchów leżały po kątach jak śpiące węże, wciąż trwały wkute w skałę, żelazne obręcze.

Jeżon dotknął dłońmi skroni, zamknął oczy, zamarł w bezruchu. Kociej wsparł się o skałę. Czuli, czuli to, ból i strach, cierpienie i nienawiść, głód i pragnienie. Całą grootę wypełniało wspomnienie straszliwej męki - tortur i śmierci. Lecz to nie hodowani dla czaszek niewolnicy, to po prostu więźniowie, których trzymał tu któryś z Maszków.

Bogowie tylko wiedzą za co. Dawno to się działo i od lat ten loch pozostawał pusty, lecz kamień pamiętał wszystko. I długo jeszcze miał pamiętać, bo musiały tu się dziać straszne rzeczy.

Długo też stali Przewodnicy przed wejściem do groty, by minęło im to wspomnienie.

- Lata całe możemy tak łązić - pomrukiwał Kociej. - To prawda, niełatwo przygotować kryjówkę do trzymania stu niewolnych, lecz miejsc takich w Skardii starczy, byśmy się tu wnuków dochowali. Orszon się pomylił, to nie Czaszka Płotniczak jest winien. A wszyscy inni jednako się zdają podejrzani. Inaczej się musimy do sprawy zabrać. Pomyśleć.

- Sądysz, że Orszon coś knuje?

- Knuje, nie knuje. Nasza sprawa - odzyskać Ziarno, jego

- znaleźć świętokradcę. Myślę, że nie spróbuje nas przy tym obrabować, ale tak to musimy obmyśleć, jakby chciał...

- A jeśli tamten wie?

- Nad tym spędzimy następny wieczór - Kociej nerwowo chodził po komnacie. - Spójrzmy na rzecz całą inaczej. Stu niewolników. Sto zniekształconych czaszek...

- Tak, sto głów - leżący na łóżku Jeżon przekręcił się na brzuch. - Hodowanych od dziecka... Tak...

- Od początku. Głowa, czaszki... Sto czaszek, stu ludzi...

Milczeli. Nagle twarz Jeżona rozjaśniła się.

- Dwieście głów wcale nie musi oznaczać dwustu ludzi.

Pamiętasz, jak Maszta wrócił z południa? Co gadał o tej oberży w Kaleos, pamiętasz? Jak się do niego ten dziad przyczepił, suchy i wielki jak tyka chmielowa. Ten, co się podawał za wielkiego bohatera.

- Tak! Tak! - Kociej stanął na środku pokoju, klepnął się po udach. - Zatrute strzały chciał sprzedawać, drogie jak ze złota...

- No, a Grembion Podgardle miał gości z południa. Stamtąd przecież pochodził ten dzban, co go w świątyni widzieliśmy.

Nie trzeba więc żarcia dla stu gąb. Bagien, przede wszystkim bagien.

- Czy Grembion zawsze mieszka w Błyszczynie?

- Oczywiście, że nie. Żaden z władyków przez cały rok nie tkwi w swych dziedzicznych włościach. Kto by tam dwór wykarmił, kto zbrojnych? Grembion ma kilka wasalnych stancji. Co roku odwiedza siedem, osiem. Lubi też niespodziewanie spadać na głowy swoim rządcom. Póki siedzi w Błyszczynie, jakieś jego poruszenia mogę jeszcze śledzić.

Gdy wyjeżdża, niewiele wieści do mnie dochodzi.

- Co nowego i ciekawego masz, wielebny?

- Nowego i ciekawego? Cztery miesiące temu Grembion zapuścił brodę, choć w jego rodzie nie było takiego obyczaju. Potem pomór poszedł po gospodarskich zwierzętach, jego i po sąsiedzku siedzących Torczyków. No i dwa wypadki mu się zdarzyły. Raz, spadłszy z konia, przez dwadzieścia dni chodził z gębą obwiązaną białym płótnem, a potem, gdy pożądlify go pszczoły, znachorzy twarz mu nacierali różnymi maściami.

- To ważne - powiedział Jeżon. - Ta broda, bandaże i leki.

- Tak, rycerzu, masz rację - przerwał mu Orszon. - Dużo jeździł ostatnio, siedział w gościnie u wielu wasali. Nie można go podejrzewać o to, że robił coś złego, wszak wszyscy go widzieli. Lecz to chyba tylko pozór. Ktoś go pewnie w tej drodze zastępował, podobny widać, ale Grembion i tak twarz

sobie i jemu dla niepoznaki zasłaniał. Tak rzeczywiście może być, jeśli prawdą jest to, coście mi rzekli na początku.

- Nie wierzysz nam? - szorstko przerwał mu Jeżon. - My też możemy się obawiać, czy nas nie okpiasz.

- Obiecałem wam. Nie zmuszaj mnie, rycerzu, bym czynił to powtórnie - teraz i Orszon się rozeźlił.

- Wybacz Jeżonowi, wielebny - odezwał się Kociej. -

Denerwuje się, bo rzecz cała wygląda na bardziej złożoną niż nam się z początku zdawało.

- Obrońca się znalazł - powiedział Jeżon znacznie później, gdy siedzieli już w swej izbie. - Wiem, że za dużo rzekłem, wiem! Ale nie podoba mi się ten podcięty staruch!

Bardzo! I wszystko to mi się nie podoba, dziś na przykład czułem, że ktoś za mną lezie, kiedyśmy wyszli na miasto.

- Ja nikogo nie dostrzegłem - Kociej spojrzał na przyjaciela uważniej. - Jesteś pewien?

- Nie. Gdybym był pewien, to bym się na niego zasadził.

- Głupio byś zrobił, Jeżon. Musimy to od nowa przemyśleć.

Pamiętaj, że i my Orszona oszukujemy, te głupstwa, któreśmy mu nagadali, mogą go niepokoić.

- Spójrz na mapę - Kociej palcem stuknął w blat stołu. -

Wszystkiego się dowiedziałem. To Grembionowe włości. Ludzkie osady gęszczą się jedna obok drugiej, bo ziemia dobra i pod

siew i na wypas. Wzdłuż rzeki też sporo wsi. No i za górami, tam kopalnie miedzi.

- Duże te góry?

- Jako wszystkie w Skardii. Niewysokie, lecz strome. Tu leżą, w środku - przesunął palec ku lewemu brzegowi mapy - i przecinają kraj ku zachodowi. Rzeka Niedźwiedzi przełamuje je tutaj, a wypływa z Gór Srogich, co już się na mapie nie mieszczą i należą do Harałów. Wielebny sądzi w dalszym ciągu, że potrzebne takie miejsce, w którym można kupę ludzi utrzymać i wykarmić. My wiemy, że to nieprawda. Znalazłem, co trzeba.

Pogoża. Tutaj. Kiedyś należały do tego majątku dwie wsie i warowny dworek. Ale teraz to tylko ruiny, chyba że już wszystko zdążyło zgnić. Bartników tam sporo żyło i zielarzy. Lecz potem przyszła zaraza, która przetrzebiła ludzi i woły. A potem kilka lat deszczowych i okoliczne bagna zbliżyły się do ludzkich domów. Mieszkańcy opuścili Pogoże, a drogi dawno już pozarastały. Zważ, że mimo swej dzikości to miejsce leży niejako pośrodku ziem Grembiona, przeto łatwo mu tam dotrzeć.

- Sądzisz więc - spytał Jeżon - że wiemy już wszystko?

- Tak - powiedział Kocieju poważnie po chwili

zastanowienia. - Wiemy kto, kiedy, dlaczego i gdzie. Wiemy wszystko.

- W takim razie dziś wieczorem odpoczywam. Czy Orszon mógłby mi przysłać dwie piękne i wyuczone dziewczki? Tylko cystate.

- Tu chyba będzie dobrze - Jeżon zatrzymał konia i zeskoczył z siodła. Stali na krawędzi żlebu zarośniętego gęstą trawą. Ostrożnie sprowadzili wierzchowce po zboczach, przywiązali wodze do gałęzi drzewa, pościągali z końskich grzbietów swoje tobołki. Granice Grembionowych włości przekroczyć mieli pieszo.

Kociej poprawił pas, sięgnął po miecz. Ostrze błysnęło wśród zieleni, przecięło powietrze ze świstem. Wsunął miecz, ściągnął prawą rękawicę. Spojrzał na palce stalowej dłoni. Zakończone ostrymi szponami, lśniły w słońcu. Przez chwilę poczuł tęsknotę za Karią, czekającą w Kęczordze. Piękna Karia...

Jeżon dociągnął rzemienie butów. Podnosząc się, wyszarpnął z pochwy miecz, zawinął nim. Kociej odwrócił się w stronę Jeżona, złożył ręce jak do modlitwy, pozostawiając między nimi odstęp nie większy niż na paznokieć. Jeżon znów wziął zamach, żeleźce weszło między dłonie Kociejego, zamarło w bezruchu.

Kociej uśmiechnął się.

Chłodny wiatr ciął od jeziora, pokrywając tafłę wody siecią
zmarszczek, poruszając przybrzeżne drzewa do sennego śpiewu,
płosząc ptasi drobiazg, rwąc pajęcze sieci. Skryte za
chmurami słońce i pełznąca znad wschodnich bagnisk mgła.

Zimno i ponuro. Ponuro i zimno. Szczególnie, gdy człek
niewyspany, głodny, zmęczony trzydniowym marszem i zbyt
częstym nakładaniem elfiej peleryny. Wszystkiego może się
wtedy i najtwardszemu wojownikowi odechcieć.

Chyba że siedzi się właśnie przy ognisku, choćby i tak
malutkim, by nie dawało blasku ni dymu. Chyba że trzyma się
w ręku kij z nadzianym, dobrze upieczonym królikiem, a w
bukłaku chlupie, zostawiony na taką okazję zapas miodu.

Można ściągnąć z nóg buciory, zrzucić z pleców twarde
kaftany i pogadać o pozostawionych w Kęczordze pannach. O
tak, piękna to chwila i by ją przeżyć, warto się było wybrać
na tę wędrówkę.

Lecz już wkrótce Posłańcy musieli się zabrać do roboty.

Ostrożnie doszli do brzegu jeziora i tam, skryci w
wiklinowych krzakach, przez całe popołudnie przyglądali się
odległemu półwypowi. Jezioro Pogoża miało kształt jajka i,
jak się Przewodnikom zdało, obeszliby je w jeden dzień.

Tyle że teraz było to ponoć niemożliwe, gdyż cały jego
wschodni brzeg łączył się z wielkimi bagniskami. To owe
moczary sprawiły, że fragment lądu, który niegdyś lekko się

tylko wcinął w obrys jeziora, teraz stał się półwyspem, z jednej strony oblanym mętną wodą, z drugiej błotami. Na samym skraju tego cypla, u stóp niewysokiego, zarośniętego drzewami wzgórza leżała onegdaj Pogoża.

- Zobacz, cały cypel porasta młodniak. Pewnie wieśniacy mieli tam pola. Więc nasze peleryny na nic. Nie przemkniemy się, to widać od razu. A jak nas złapią...

- Wodą? - skrzywił się Jeżon. - Zimna. Może od razu przesmykiem?

- Za łatwe by się to wydało Grembionowi. Jutro szykujemy tratwy, a w nocy wypływamy. Jeśli ktoś tam w ogóle siedzi. Zmierzchało, gdy zobaczyli na drugim brzegu jeziora sylwetki zbrojnych. Przypuszczenia okazały się więc słuszne - to tu umieścił Grembion swoją tajemnicę.

Cały następny dzień zszedł im na majstrowaniu z wikliny dwóch tratw, potem musieli jeszcze przejść kawałek wzdłuż brzegu tak, by wiejący z boku wiatr spychał ich ku półwyspowi. Zanim zanurzyli się w wodzie natarli skórę ochronnymi olejkami - bagna były tak blisko, że do jeziora przedostać się mogły jakieś utopecie lub węzowuchy. Księżyc na szczęście pozostawał w nowiu, więc większość stworów i tak spała, ale zawsze lepiej zadbać o siebie.

Kaftany, nogawice i broń zapakowali do dwóch sakw ze

skóry, które położyli na tratwach. Do przeciwległego brzegu przybili bez żadnych kłopotów. Gdy tylko stanęli na lądzie, rozsypali swoje tobołki i pozakładali ubrania. Ruszyli do przodu ku wznoszącemu się nad lasem pagórkowi.

Dwa cienie pełznące wśród dziesiątków drżących cieni drzew.

Szelest deptanej trawy pośród szelestu liści. Rytm oddechów pośród rytmu tłoczonych w pnie wody. Nic więcej. A jednak wystarczająco wiele, by dostrzegł ich uważny obserwator.

Póki szli przez młodniak, na nic zdały się elfie peleryny, wszak ciągnęły się tu kiedyś pola obrabiane ludzką ręką, a na zaoranej żelazem ziemi nie działa magia elfów. Trzeba więc było się skradać ostrożnie, tak przeciskać pomiędzy niskimi gałęziami, by żadnej nie trącić za mocno. Teren podnosił się wyraźnie, znak, że do wzgórza niedaleko.

Piętrzyło się nad nimi - ciemne, ogromniejące, gdzieś luskające w świetle gwiazd szarymi załamami. W końcu dotarli do podnóża pagórka.

- Wchodzimy tutaj - szepnął Jeżon wskazując ciemniejący nad nimi otwór groty. - Tam zapadniemy przed świtem.

Ruszyli. Konia by tu nie wprowadzili, ale człowiek dobrze dawał sobie radę. Popęzli w górę, przyklejeni do szarej powierzchni jak muchy do okiennej błony.

A kiedy byli w połowie wysokości i nie mogli się nawet

odwrócić czy szybko cofnąć, usłyszeli kroki. Za plecami, w

dole. Chrząst kamieni deptanych wieloma stopami. Głos:

- Dziesięć łuków mierzy w wasze plecy, rycerze. Zejdźcie tu grzecznie.

Stali obok siebie, plecami wsparci o skalną ścianę, z dłońmi na rękojeściach mieczy, z zaciśniętymi ustami. Dwunastu czekało naprzeciwko. Dowódca Grembionowych ludzi, barczysty drab w nabijanej ćwiekami kurtce, z potężną maczugą w łapskach, zrobił krok do przodu.

- Od kiedy to szlachetni rycerze łążą po skałach jak świstaki? - Zęby miał białe i lśniące.

- Od kiedy to rabowie mierzą z łuków do szlachetnie urodzonych?

- Może i rabowie, ale nie złodzieje, co nocą wpałzają na cudzą ziemię. Oddajcie miecze!

- A jeśli nie?

- Rycerską skórę strzała równie szybko przebije, co i rabską.

Zapadła cisza.

Czarne groty czarnych strzał. Wokół szarość poranka.

- Łziesz, łajdaku - powoli powiedział Kociej. - Miałeś nas doprowadzić do Grembiona, a nie zabijać. Prowadź więc albo spróbuj nam zabrać miecze.

Ścieżyna wiła się w górę między skałami, drzewa rosły po obu jej stronach. Gdziekolwiek tylko je przycięto. Świeże pniaki, kupy odrąbanych gałęzi i wyorane ciągniętymi balami ziemne bruzdy znaczyły te miejsca.

Gdy dotarli do szczytu wzgórza, drogę zastąpiło im dwóch strażników, pytająco patrząc na dowódcę. Odpędził ich gestem ręki. Jeszcze jeden zakręt i mała kolumna mężczyzn była na miejscu.

Oto otworzyła się przed nimi kotlina, jakby zagłębienie w kopcu, na który się wspinali, zewsząd otoczone wapieniem. Mogło mieć sto kroków na sto. Nie pozostawiono tu żadnego drzewa, pod skałą stały cztery duże budynki. Na dworzu stało kilku mężczyzn. Wszyscy brodaci, wszyscy pod bronią, ale strój od razu zdradzał, kto nimi dowodzi.

- Witaj, szlachetny Grembionie - Kociej pochylił głowę. -

Słyszeliśmy, że siedzisz w Błyszczynie. Miła to niespodzianka ujrzeć cię tutaj.

- Witajcie, rycerze - Grembion miał głos zdecydowany, ale miły dla ucha. - A ja was spodziewałem się tu zobaczyć. Znam również cel waszej wizyty.

- My też znamy prawdę. Całą.

- Mój podziw dla rozumów waszych nie ma granic. Więc nie wyjdziecie stąd żywi - zawiesił głos.

Nie drgnęli nawet.

- Krew twych ludzi zboczy tę ziemię. Zresztą, dobrze

wiemy, że nie zechcesz nas zabić. Pragniesz wszak wiedzy...

Kociej mówił cały czas. Zadawał pytania, słuchał

wymijających odpowiedzi, po czym sam zbywał okrągłymi słowy

te rzeczy, które ciekawiły Grembiona. Choć rozmawiali długo,

do sedna sprawy nie zbliżyli się choćby o włos. Jeżon

milczał. Milczał, lecz nie próżnował. Bacznie oglądał całą

kotlinkę. Naliczył osiemnastu ludzi, nie wiadomo, ilu

siedziało pochowanych w lesie i w domach. Studni nie ma, w

dwóch budynkach duże okna, w dwóch w ogóle ich braknie...

Więc to tam.

Dzień wstawał słoneczny, gorący.

- Przybyliśmy tu po Ziarno - powiedział nagle Kociej. -

Oddaj je, a odejdziemy w spokoju. Oddaj, a Orszon nie pozna

miejsca twej kryjówki.

Grembion roześmiał się. Jego wojownicy stali w milczeniu

wokół rycerzy - napinając łuki, z dłońmi na rękojeściach

mieczy, z toporami w garściach. Osiemnastu.

- Co ty mówisz, człowieku!? Popatrz na tych zabijaków.

Popatrz na nich dobrze. Czy myślisz, że przybędzie tu

odsiecz? Że Orszon wprowadzi swych rabów w głąb mej ziemi?

Nie bądźcie głupi! Czekałem na wasze przybycie do Skardii,

moi ludzie chodzili za wami jak cienie. Ty sam wszak

powiedziałeś przed chwilą: Orszon nic nie wie. Sami tu

jesteście, sami!

- Czekaleś na nas?

- Nie na was, ile na to, co się wydarzy. Ziarno zaczęło zmieniać barwę, czułem coś, coś... No więc wystawiłem czaty

i w końcu otrzymałem wiadomość - pojawili się obcy, zza

bagien, kapłan ich zabrał. Tu nie tak często zjeżdżają

obcy...

- Wiemy. Ostatnio kupcy, prawda, Grembionie?

- Tak - władyka zamyślił się. - Skąd wiedzieliście, że to

ja?

- Orszon wierzył w hodowlę niewolników. Szukał więc w

złych miejscach. A ty ten dzban niefrasobliwie podarowałeś

świątyni, bardzo niefrasobliwie...

- Wy też, przychodząc tu, postąpiliście niefrasobliwie.

Orszon wszak nie wie, że tu jesteście. Nie mylę się chyba?

Nie po to narażaliście skórę, by potem on zabrał wam Ziarno.

- Oddaj nam je, a cało wyniesiesz głowę z tej sprawy.

Obiecujemy ci to.

Grembion poczerwieniał.

- Tego już za wiele! Baczcie, by bardziej mnie nie

rozsierdzić, bo srogi was los czeka. Baczcie!

- Daruj, panie - powiedział cicho Jeżon. - Jesteś mądrym

człowiekiem. Obmyśliłeś świetny plan, czytałeś z czaszek

przodków, podrzucałeś w ich miejsce nowe. Zrozumiałeś znaki dawane ci przez Ziarno Czasu i przewidziałeś nasze przybycie. Musisz jednak zrozumieć, że my jesteśmy Przewodnikami. I że to my mamy wskazać Ziarnu drogę do Kęczorgi. Stoi tu dwudziestu twoich ludzi. Nas jest dwóch. Ale patrz, co mamy - otworzył zaciśniętą dotąd dłoń. Na grubej rękawicy leżała lśniąca grudka.

- Chcesz mnie kupić? - uśmiechnął się Grembion.

- To nie złoto, panie. A w pochwie u prawego boku Kociej nie siedzi drugi miecz, a pochodnia. A sakwa, którą dźwiga Jeżon, to nie toból zwykły, a worek siapca.

Grembion zawahał się chwilę. Chwilę. Kociej już wyszarpywał kij z pochwy, Jeżon już podtykał do głównej grudkę Białego Ognia, wypowiadając zaklęcie.

- Strzelać! Strzelać! - wrzasnął Grembion zwracając się do swoich ludzi.

Niebo runęło. Deszcz zwałił się na ziemię wielkimi jak ziarna fasoli kroplami. Kociej podnosił właśnie do góry pochodnię Białego Ognia. Dziesięć strzał cięło powietrze. Dziewięć z nich deszcz przydusił do ziemi. Dziesiąta zdążyła. Kociej jęknął, strzała utkwiała w jego prawym ramieniu. Pochodnia upadła na trawę.

W tej chwili pękł powietrzny klosz otaczający obu

rycerzy, woda zbiła ich z nóg, powaliła jak chwilę przedtem ludzi Grembiona.

Kociej leżał z twarzą przyciśniętą do ziemi, rozplaszczony, bity z góry wodą niczym wielkim młotem. Przeróżliwy nacisk zdawał się szarpać skórę i mięśnie, miażdżyć kości, wypychać trzewia. Ból przebitej ręki paraliżował lewą połowę ciała. Kociej nie potrafił się choćby unieść i wiedział, że za chwilę i ruchu nie zdoła wykonać. Strasznie, strasznie umrzeć tak głupio, u końca wędrówki, tuż obok Ziarna. O Mądra Pani, dlaczego tak się stało?! Wędrowali tu trzy miesiące, przemierzili wiele krain. Potem obmyślili plan. Chcieli ukraść Ziarno Grembionowi - to było ich posunięcie. On wykonał swoje - śledził ich cały czas. Zastawił pułapkę tu, na wyspie. Lecz oni i to przewidzieli. Worek siapca unieruchomić miał wszystkich ludzi w Pogoży prócz nich. Wszystkich... Już teraz Kociej nie mógł się ruszać. Zaraz straci przytomność. Odzyska ją razem z Grembionowymi, gdy przestanie padać deszcz. Dlaczego, dlaczego tak głupio... Wszystkie te myśli przeleciały przez głowę Kocieja. A potem jeszcze jedna. Pochodnia! Pochodnia leży przecież tuż obok, niedaleko, oddzielona cienką ścianą deszczu, gdyby sięgnąć ręką... Tylko z której strony! Z której!?

Zapomniał o bólu. Zbierając siły, zagryzł wargi do krwi.

Palce lewej dłoni zacisnęły się na kępkach trawy, prawej wbiły w ziemię. Podciągnął się stopę, może dwie. Trzy. Coś jakby pełgający blask przed oczyma. Może to złudzenie, może to wzrok mąci się w zalewającym blask potopie. Nie! Dłoń już w suchej przestrzeni! Jeszcze kawałek, jeszcze trochę!

Woda już nie zatyka ust, już w powietrznym bąblu tułów i nogi. Kociej podniósł pochodnię, wstał... Deszcz otaczał go zewsząd. Rycerz zrobił dwa kroki w prawo, tam gdzie spodziewał się natrafić na Jeżona. Potem jeszcze krok. Coś czerwonego zalewa oczy. To krew, krew na rękawie, na kołnierzu, na szyi, we włosach. Ból wrócił ze zdwojoną siłą. W tej samej chwili Kociej odnalazł Jeżona. Stał nad gramolącym się przyjacielem, jeszcze otępiałym, jeszcze słaniającym się na nogach.

- Strzała - powiedział. - Wyjmij mi strzałę.

- Chodź tu - mruknął Jeżon przytomniejącym głosem. Kociej poluzował rzemienie kaftana. Jeżon wyciągnął nóż, odciął bełt strzały, pomógł Kociejowi zdjąć ubranie. Rana krwawiła, cała kurtka nasiąkła różową wilgocią.

- Zamknij oczy i zagryź - wsunął Kociejowi w usta skórzany woreczek, zanurzył ostrze noża w jasnym płomieniu Białego Ognia.

Kociej nie jęknął nawet, gdy Jeżon wydobył grot z jego ramienia. Rana posmarowana leczniczą maścią zagoi się

szybko. Zresztą już niedługo powinni wrócić do Kęczorgi, a tam Mądra Pani się nim zaopiekuje. Już niedługo...

Wystarczy odnaleźć leżącego gdzieś tu, na pewno nieprzytomnego Grembiona i odebrać mu Ziarno. Musiał je przecież ukryć w Pogoży. To jedyne niepewne założenie, jakie poczynili w swym planie. Grali z Grembionem i z Orszonem. Pierwszego przechytrzyli, niespodziewane spotkanie z siąpcem bardzo im w tym pomogło. Dzięki workowi mogli wejść do Pogoży, ba, być nawet do niej wprowadzeni jako więźniowie, a mimo to panować nad sytuacją. Więc jeśli jest tu Ziarno, to odbiorą je i wrócą do domu. Jeśli zaś nie... Wtedy muszą zawierzyć słowu Orszona. Oni udowodnią winę Grembiona, a kapłan, zajmąwszy Błyszczynę, odda Przewodnikom Ziarno. Jeśli zechce...

O tak, sprytną grę przeprowadzili. Grembion wcale nie musiał żywić setki niewolnych. Ani przez osiemnaście lat, ani przez rok, ani przez chwilę. Nigdy. Oprócz swoich ludzi dbać musiał tylko o jeden żołądek. Więc nie żyzne pola i lasy wokół kryjówki były potrzebne. Przeciwnie, bagna i mokradła. Wszystko się zgadzało. Czerwono-czarny dzban, kupcy z południa i opowieść Masztara. Odpowiedź na zagadkę znajdowała się w jednym z budynków bez okien. W jednym z dwóch. Pójdą tam z ciekawości i po to, by sprawdzić swe przypuszczenia, pójdą na pewno.

Odpoczywali chwilę po zabiegu, obaj zdyszani, obaj spoceni. Deszcz tłukł bezlitośnie, a oni siedzieli na ziemi, schnąc i milcząc, jakby każdy raz jeszcze sobie wszystko przemyślał.

- Czas już - przerwał ciszę Jeżon. - Jak twoja ręka?

- Boli - mruknął Kociej. - Ale ruszać mogę.

- To chodźmy - Jeżon chwycił pochodnię.

Łoskot deszczu głośniejszy się zdawał niżli tętent tysięcy koni w czasie Bitwy Kwiatów niż jęk, jaki dobywa się z czeluści ziemi w Wąwozie Nimorrohel, niż huk Wodospadu Na Granicy Świata. Kilkakrotnie ciała nieprzytomnych wojowników wnikały w obręb światła pochodni, nim Przewodnicy znaleźli Grembiona Podgardle. Włodarz leżał na brzuchu, z szeroko rozpostartymi rękami, stopami zarytymi w ziemi, głową wciśniętą w trawę. Gdy przewrócili go na plecy, jęknął cicho.

- Mocny jest - powiedział Jeżon wyciągając miecz i przykładając ostrze do szyi Grembiona. - Już otwiera oczy.

Grembion pokręcił głową, jego palce poruszyły się.

Zobaczył pochylone nad sobą twarze, chciał się poderwać.

Szpic miecza kolnął go w brodę. Grembion opadł na ziemię.

- Chcesz drugi raz sobie gardło otworzyć? - spytał Kociej z uśmiechem. - Gdzie Ziarno?!

Grembion milczał, wciąż zbierając siły. Drżenie przeszło

przez jego potężne ciało.

- Ziarno! - Jeżon pochylił się nad mężczyzną, zaczął obmacywać jego kaftan, zerwał wiszącą na szyi kaptorgę, ale w środku znalazł tylko drewniane amulety. - Gdzie jest?!

- Nie tu - powoli powiedział Grembion. Z trudem przyszło mu wymówienie choćby tych dwóch krótkich słów.

- Gdzie?!

- W Błyszczynie.

- Łiesz - Jeżon mocniej docisnął ostrze do szyi

Grembiona. - Jest tutaj.

- W Błyszczynie... - wychrypiął Grembion. - Prawdę gadam.

- Myślę - powiedział Jeżon - że możemy darować ci życie.

Bo i po co mamy cię zabijać, już wkrótce opuścimy Skardię.

Ale wiesz co, możemy sprawić, że nas zapamiętasz - mówiąc to zabłysnął mieczem przed oczami Grembiona, ostrze powędrowało niżej, wzdłuż szyi, pasa, brzucha. zatrzymało się. Twarz Grembiona poczerwieniała.

- Czy masz już dziedzica, panie? - powoli spytał Jeżon naciskając mieczem. - Bo wiesz, ta pamiątka...

Z gardła Grembiona wydobył się przerażony gulgot.

- Więc?

- W baraku! Skryte pod podłogą, lewy róg przy drzwiach!

Tam trzymam, błagam, nie!

- Sprawdźmy - Jeżon cofnął miecz. - Idziemy. Ale jeśli

nas oszukałeś...

Zrobił krok do tyłu, wziął pochodnię z ręki Kocieja.

Ruszyli w stronę baraku. Popełnili błąd.

Być może, Grembion silniejszym był mężczyzną niż im się zdawało. Być może, deszcz wywołany z worka martwego siapca

wali z mniejszym impetem niż normalny. Być może, nienawiść

dodała Grembionowi sił. Dość, że gdy obrócili się do niego

plecami i spuścili na chwilę z oczu, gdy znalazł się znów na

granicy powalającego deszczu, który miał go zaraz przycisnąć

do ziemi, Grembion zdołał zebrać wszystkie siły. Poderwał

się i wyciągając nóż zza cholewy buta skoczył ku

Przewodnikom. Kociej wyczuł ruch za plecami, odwrócił się

wyszarpując miecz. Gdyby był zdrowy, zabiłby Grembiona.

Teraz wszak spóźnił się o mgnienie oka. Władyka skoczył pod

tnącym zbyt wolno powietrze ostrzem. Pchnął w odsłonięte

plecy Jeżona. Lecz drugi Przewodnik też już robił unik. Nóż

omsknął się po ramieniu i ugrzązł w dźwiganej na plecach

sakwie. Przedziurawił worek siapca.

Na moment wszystko zamarło jakby w bezruchu. A potem

deszcz zniknął. W jednej chwili słońce zaświeciło nad

Pogożą, błękit czystego nieba zastąpił burą szarość i tylko

leżące na trawie ciała Grembionowych niewolników wskazywały,

że stało się tu coś dziwnego.

Wykorzystując zaskoczenie Przewodników, Grembion runął w

bok, umykając przed kolejnym ciosem Kociej. Drzwi jednego z

domów otworzyły się z hałasem, wybiegło ze środka pięciu

uzbrojonych mężczyzn. Jęknął ktoś z leżących na placu.

- Do baraku! - wrzasnął Jeżon.

- Zatrzymać ich! - to Grembion.

- Do którego!? - Kociej wciąż stał w bezruchu.

- Pierwszego! - w głosie Jeżona zabrakło jednak pewności.

Rzucili się przed siebie. Ale tamci już zabiegali im drogę.

- Szybciej - Jeżon odbił pierwsze uderzenie, skoczył w

bok, na złamanie nóg pobiegł ku barakowi. Dopadł go

równocześnie z Kociejem. Szarpnął drzwi. Usłyszał szczęk

stali tuż koło ucha, to przyjaciel osłonił jego głowę. Jeżon

odwrócił się, zawinął mieczem, odepchnął swego przeciwnika.

- Teraz!

Kociej wskoczył do środka. Jeżon dał nura za nim. Huknęły

zamknięte gwałtownym szarpnięciem drzwi, coś łomotnęło o nie

z drugiej strony, ale zdążyli już zatrasnąć skobel.

Izba, w której się znaleźli, była pusta. Ani jednego

sprzętu, choćby ławy, dzbana czy kosza. Nic. Śmierdziało tu

krwią, potem, gnojem i bagnem. A kiedy usłyszeli jeszcze

dochodzący z dołu, spod podłogi, przeciągły i żaloszny jęk

bólu, strachu i złości, wydarty z wielu naraz gardeł,

zrozumieli, gdzie są.

- Tu ją trzymają! - powiedział Kociej. Jeżon przyłożył

oko do szpary między deskami drzwi.

- Szykują się! Mają taran! - krzyknął Jeżon, a potem

skoczył ku rogowi izby, kucnął. - Nic tu nie ma! Do diaska,

ołgał nas! - głos Jeżona zlał się w jedno z gwałtownym

łomotnięciem w drzwi. Kociej spojrział na druha uważnie.

- Źle z nami. Trza nam się przebić do drugiego baraku.

Drzwi znów jęknęły.

- Przetniemy się, co?

- Kupa ich. Ale trzeba spróbować.

- No to co, idziemy!?

- Czekał, czekał - Jeżon przyłożył oko do szpary w

drzwiach. - Znów biegną. Jak powiem, otwieraj.

Tupot nóg, krzyki, tupot coraz bliższy, coraz...

- Już! - wrzasnął Jeżon. Kociej podbił zamek nogą. Taran

walnął w drzwi, otwierając je bez trudu, niosący go ludzie

zrobili jeszcze kilka kroków, przewracając się, potykając.

Miecze Przewodników rozpoczęły swój taniec. Nie minęła

chwila, a trzy trupy leżały w izbie, jeden żołnierz

wyczołgiwał się z niej, by zostać trupem na dworzu, trzech

cofało się w popłochu. Drzwi zostały ponownie zatrzaśnięte.

Poczuł dym. Przez ściany baraku zobaczyli jasne błyski.

- Wykurzą nas jak borsuki!

- Idziemy chyba? Jeśli chcą nas upiec, to niech najpierw

wsadzą na rożny.

Skowyt spod podłogi przeszedł w szloch.

Drzwi otwarte kopniakiem.

Pierwszy sztych. Ramię w ramię. Plecy w plecy. Potem oderwali się od siebie, kosząc każdy na swoim.

Miecz tnie pierś, paruje cios. Zdumiona twarz wojownika, gdy jego topór odbija się od dłoni Kocieja. Zabić!

Dźwięczały uderzające o siebie klingi, żołnierze Grembiona przeszkadzali sobie w tym tłoku, a Przewodnicy wykorzystywali każdy ich błąd. Już drugi cofnąć się musiał z poszarpaną ręką, już trzeci runął na ziemię z przeciętym gardłem.

- Dobrze jest! - krzyknął Jeżon. Uparcie szli ku drugiemu barakowi. Tam jest Ziarno. Tam nadzieja. Lecz przeciwników było wielu. Wielu. I wciąż nowi podnosili się z ziemi, otrząsali i ruszali do walki.

- Dobrze! - Kociej też czuł ten puls, ogarniający całe ciało rytm, parzącą krew wypełniającą żyły. Rozgrzewał się wolniej niż Jeżon i przy kobietach i w walce. Wolniej, ale równie skutecznie. Już szósty - od dziś do końca życia bez palców, już siódmy, pragnący zatrzymać dłońmi wypływającą z trzewi krew.

A za ich plecami huk pożaru i wycie, coraz głośniejsze, coraz bardziej przeraźliwe. Dziewięć skrzekliwych głosów,

różnych, a tak podobnych. Pożar ogarnął cały budynek.

Parli ku drugiemu barakowi. Tam Ziarno. Tam nadzieja. Tu

- śmierć.

Parli do przodu niczym dwa dziki osaczone przez wilczą

horde. Impetem swym, masą, śmiertelnym ostrzem niosąc

zagładę i ból. Lecz sami też już kąsani, przewracani,

pokryci nawałą ciał. Mimo to, być może, by się im udało.

Grembion widząc jak tych dwóch - rannych, skrwawionych,

zmęczonych sieje śmierć pośród jego ludzi, jak

nieustępliwie, krok za krokiem zbliża się do drzwi baraku,

pojął, że coś dziwnego się za tym kryje. No, bo cóż jeśli

Ziarno zdobędą, cóż!? Otoczonych i tak zagłada musi spotkać.

Więc to nie jest zwykłe rycerskie zaślepienie. Skoro nie

myślą o ucieczce, tedy jakiś cel mają w zdobyciu Ziarna.

Zostawił swoich walczących żołnierzy i skoczył w stronę

baraku.

- Grembion! - krzyknął Jeżon dostrzegłszy biegnącego

mężczyznę. - Musimy go... - nie dokończył, bo topór

przeciwnika mało mu nie rozplątał czaszki. Kątem oka

dostrzegł jak ostrze Kociejowego miecza rozoruje ramię

topornika. Skoczył w bok, by obejść zagradzających mu drogę

mężczyzn.

Kociej spóźnił się o jedną chwilę. Nie osłonił pleców

druha, spadło na nie uderzenie pałki. Jeżon zachwiał się,

oparł ręką o ziemię. Rzucił w bok, by uniknąć kolejnego ciosu. Czuł, jak drętwieje mu ciało, krew zalewa oczy.

Grembion wpadł do baraku.

Nie szkoda jest ginąć. To nie jest zła chwila, gdy miecz wroga przecina twą zbroję, dziurawi kaftan, wchodzi w ciało.

Nie po to żyje wojownik, by szczeznąć w łóżku jak kmieć czy kapłan. Śmierć zbrojna przeznaczona mu od dnia narodzin. I ich śmierć sławna będzie ponad czasem. Mistrz Kolohrian ułoży o nich pieśń, jak układał ją o wszystkich

Przewodnikach, którzy nie wracali ze swej wędrówki.

Jeżon poczuł chłód stali wnikałej w ramię, ciało pochylając się ku przodowi, a wtedy pałka drugiego wroga spadła mu na kark odbierając oddech.

Kociey przestąpił ciało druha, stanął nad nim, zatoczył mieczem młyńca, rozrąbał jedną jeszcze czaszkę. Tamci cofnęli się na moment, lecz zaraz, już pewni zwycięstwa, znów ruszyli do przodu. Odbijał ich ciosy i krzyczał, nie widział już wrogów, słyszał tylko ich oddechy, świst dzielącej powietrze stali, tupot nóg, jęki rannych, czuł zbliżający się ból.

I nagle huk rozległ się za jego plecami. I łomot, i trzask, i ryk wydarty z wielu naraz gardeł. Otaczający Kocieja wojownicy cofnęli się o krok, rozpierzchli, zdziwienie i przerażenie malowało się na ich twarzach.

Kociej nie zastanawiał się wiele. Pochylił się nad Jeżonem, chwycił wpół, dźwignął w górę. Przyjaciel stanął na chwiejnych nogach i otworzył oczy. Tamci wciąż się cofali. W drzwiach baraku stanął Grembion. W dłoniach trzymał Ziarno. Teraz dopiero Kociej zerknął do tyłu. Za jego plecami stał potwór.

Cztery potężne łapy wspierały tułów, dziewięć głów zwróciło się ku ludziom. Dziewięć nieludzkich głów.

Nieludzkich? Tylko przez chwilę tak się zdawało Kociejowi - oto dostrzegł żelazne obręcze na szyjach potwora i szczipione z nimi kawałki łańcucha. Oto zobaczył drewniane kołpaki na kilku łbach. To one nadawały ludzkim głowom dziwny kształt.

Drewniane czapy do kształtowania czaszek. Potwór wyciągnął szyję ku stojącym na placu ludziom, jakby węsząc. Stał i czekał postępując cicho, jego skóra krwawiła i dymiała. Za nim huczał pożar.

Wtem potwór ryknął - dziewięć ust otworzyło się do krzyku, dziewięć szyj zakołysało gniewnie. Potwór ruszył.

Szedł prosto na Kocieja i Jeżona.

Kociej popchnął przyjaciela, skoczył za nim. Przewrócili się na ziemię o dłoń może od mijającego ich potwora. Nawet nie zwrócił na Przewodników uwagi. Szedł wprost ku barakowi, w którego drzwiach stał Grembion. Kat i ciemniejszy.

Wojownicy Grembiona zastąpili drogę stworowi. Jedenastu

czy dwunastu zostało ich zdrowych po walce z Przewodnikami i dzielni to byli rębacze. Żaden nie stchórzył, ruszyli na potwora, by zasłonić swego pana żywym murem.

Zwierz ryknął i runął w ich stronę. Jego łapy były ze ślepej furii, rozkołysane szyje spadały na ludzi niczym wielkie bicze. Jeden z Grembionowych zdołał podejść blisko.

Ciął. Potwór ryknął, odrąbana głowa poturlała się po dziedzińcu, z węzowej szyi trysnęła czarna krew. Lecz oto rana zaczęła się goić. Posoka przestała płynąć, białe mięso zarosło wylot szyi, zaczęło się gruzlić, puchnąć, nabierać kulistego kształtu, w końcu przybrało wygląd i wielkość głowy niemowlęcia. A potem, równie szybko, przeobraziło się w głowę dorosłego człowieka.

Hydra. Hydra, której jajo przywieźli południowi kupcy.

- Ogień, głupcy! Ogień! - wrzasnął Grembion. Zniknął w baraku, wypadł z niego z płonąca pochodnią w dłoni i dwoma jeszcze, które pośpiesznie zapalał. Jego ludzie walczyli i ginęli, rąbali głowy, a te zaraz odrastały. Niełatwo też było hydrze ich zabić, bo szybsi się od niej zdawali, sprawniejsi. Jednak każdy może popełnić błąd, czy też spóźnić się o moment i to spóźnienie kosztuje go życie. Ją nie.

Kociej obserwował wszystko półprzytomnie, klęcząc prawie, wciąż mając mgłę przed oczyma. Lecz już podnosił się powoli,

potrząsał głową, łapał oddech.

Widział jak spadła po raz kolejny hydrza głowa, jak do wijącej się szyi doskoczył jeden z wojowników i przypalił ranę. Hydra ryknęła, całym ciałem napała na śmiałka, powaliła go, zdusiła bez krzyku.

Lecz już tylko osiem głów jej zostało. Tym wścieklej rzuciła się ku Grembionowi, sprawcy swych nieszczęść.

Przewodnicy dźwignęli się z ziemi.

A tam już tylko czterech żołnierzy Grembiona i już tylko cztery głowy potwora, wlokącego po ziemi pięć martwych szyj.

Już nie tak szybki, nie tak groźny.

Ludzie byli zmęczeni. Zmęczeni deszczem, co wymasował ich plecy, walką z Przewodnikami, pojedynkiem z potworem, który zrazu zdawał się nieśmiertelny. Walczyli jednak.

Padł następny, lecz w tej chwili i kolejna głowa potoczyła się po ziemi. Przewodnicy ruszyli ku walczącym.

Już tylko dwóch wojowników oddzielało potwora od Grembiona. Już tylko dwie głowy zwracały się ku ludziom.

Naparli niemal równocześnie. Jeden ciął szyję tuż u nasady, drugi przypalił świeżą ranę, skoczył do tyłu. Tracił swego towarzysza, zatoczyli się obaj. Potwór sięgnął pierwszego łapą, drugi umknął przed ciosem, ale nie zdołał ominąć spadającej z góry szyi. Hydra stanęła na ich ciałach,

jej ostatnia żywa głowa ryknęła głośno. Był w tym ryku i ból, i strach, i wściekłość, i radość. Oto jej wróg stał przed nią. Sam. Bez miecza, bez pochodni, ściskając w ręku coś, czego hydra się nie bała.

Grembion trwał naprzeciw niej w bezruchu z poszarzałą twarzą i wykrzywionymi ustami.

- Oddaj Ziarno! - krzyknął Kociej. - Zabijemy ją!

Parsknął gniewnie. Jednym spojrzeniem omiół pobożowisko. Płonące domy, ciała swych ludzi posiekane mieczami, poszarpane pazurami, pomiażdżone. Swych wrogów - gotowych już do walki. Hydre. Kociej dobrze zapamiętał wyraz jego twarzy - dumy i siły zmagających się ze strachem i rozpaczą.

Grembion odrzucił Ziarno. Wyciągnął zza pasa miecz.

Pochylił się, by podnieść upuszczoną wcześniej pochodnię.

Ruszył na potwora.

Jeżon zrobił krok do przodu, ale Kociej przytrzymał go za ramię. Grembion miał prawo do swej walki.

Zaatakował od razu. Przypadł do hydry, ciął od dołu, chcąc rozplatać szyję. Potwór uchylił się, jego szyja napięła niczym struna, by uniknąć ciosu. Hydra spróbowała chwycić człowieka łapą, a gdy umknął, zdzieliła go łbem prosto w pierś. Grembion zatoczył się, ale nie wypuścił ni broni, ni pochodni. Hydra runęła na niego. Skulił się,

przywarł do ziemi, by gwałtownym sztychem wbić jej miecz prosto w łeb, przez szczękę, jednym szarpnięciem rozszczępić czaszkę na pół. Wałące się cielsko opadło na niego.

Jeżon podbiegł do potwora, wyciągnął pochodnię z ręki Grembiona, wetknął ją w sam środek bulwiącej się masy. Ciało hydry zadygotało, by po chwili zastygnąć w bezruchu.

Kociej pochylił się nad Grembionem. Strużka krwi spływała po policzku trupa, oczy były szeroko otwarte. Kociej zdjął rękawicę i zamknął je.

A potem odwrócił się ku Jeżonowi, który szedł w jego stronę, niosąc uważnie kulisty przedmiot. Zdawało się, że dłonie Posłańca lśnią ciepłym, różowym blaskiem.

- Oto Ziarno, bracie - powiedział Jeżon.

- Nie ufaliście mi więc - powiedział Orszon. - Przykre to, rycerze, ale rozumiem was. Nikomu nie mogliście zawierzyć.

- Cieszymy się, że nie masz do nas żalu, wielebny.

Posłańcy siedzieli na swoich rumakach, wypoczęci, wyspani, z opatrzonymi ranami. Konie stały obok siebie, spokojnie czekając, aż ich panowie skończą rozmowę. Im też śpieszyło się do domu.

- Przewidzieliście, że Grembion was śledzi i zabraliście worek siapca, który mógł was obronić także pośród wrogów.

Ze mną bawiliście się w poszukiwanie stu niewolników, podczas

gdy sami wiedzieliście, że to hydra. Sprytnie to wszystko, bardzo sprytnie. Tam, gdzie potwór, tam i Ziarno. Jechaliście jak po swoje.

- Nie ma ludzi nieomylnych, wielebny - smutno powiedział Kociej. - Mało co, abyśmy szczyli jak psy. No, ale ty chyba nie masz powodów do narzekań. Świętokradca został ukarany, jego wina pomszczona.

- Nie tak, jak bym chciał, nie tak. Lecz, oczywiście, lepsze to niż nic. Powiedzcie jednak, rycerze, skąd mieliście pewność, że was stąd wypuszczę. Że nie każę was zabić i nie odbiorę Ziarna? I teraz mogę dać znak swym ludziom, a pokryją was jak mrówki ślimaka, co wpełzł do mrowiska.

- Rzekłem ci przecież, że nie mieliśmy pewności. Ale mieliśmy sposób - powiedział powoli Kociej i zwrócił się ku Jeżonowi. - Prawda, druhu?

Jeżon nie odpowiedział. Położył dłoń na wiszącym na szyi woreczku. Nawet przez grubą skórę poczuł ciepło Ziarna.

- Czy nie ciekawiło cię, wielebny, dlaczego nazywamy się Przewodnikami?

Orszon kiwnął głową.

- Wiedz, panie, że każde Ziarno zna drogę do Kęczorgi.

Zgubiło ono tylko jej początek, nie wie, jak na nią wejść. I my mu to pokazujemy. A ono zabiera nas ze sobą - Kociej

podniósł ramiona do góry, wymamrotał jakieś słowa, Jeżon zamknął oczy.

I w tym momencie Orszon zobaczył, jak za plecami Posłańców podnosi się mgła. Przezroczysta, zwiewna, ulotna, a jednak zauważalna. A we mgle tej zaczyna rysować się jakiś dziwny obraz - potężna góra, zamek na jej szczycie, prastare drzewa, gród ludny i warowny, szeroki, bity gościniec.

Wszystko to migotliwe, niepewne, drżące, a jednak potężniejące z każdą chwilą, wypełniające swym obrazem i oczy i duszę.

Przewodnicy zawrócili konie i powoli wjechali w mgłę.

Nagle ich kształty też się mglić zaczęły, blednąć. Orszon zobaczył, że oni nie tu już, przed nim, na skardyjskiej ziemi, a tam, hen, hen, we mgle, w Kęczordze. Są tam daleko, w jednej chwili przeniesieni przez Ziarno, które wracając na swoje miejsce, zabrało ich ze sobą. Starczyło tylko, że wskazali mu drogę.

styczeń, październik '90

Tomasz Kołodziejczak

TOMASZ KOŁODZIEJCZAK

Urodzony 13.10.1967 r. w Warszawie. Absolwent VI LO im.

Rejtana. Student piątego roku mechaniki precyzyjnej Politechniki Warszawskiej. Od 1985 roku drukuje w prasie opowiadania SF (m.in. w "Przeglądzie Technicznym", "Fantastyce", "Problemach", "Fenixie", "Młodym Techniku"). W 1991 roku opublikował debiutancką powieść "Wybierz swoją śmierć" (Przedświt). Jeden z dwóch naczelnych almanachu "Voyager" (obok Darka Zientalaka juniora), felietonista "Fenixa", prezes Klubu Twórców przy warszawskiej "Stodole". Oczekuje na druk powieści fantasy "Krew i kamień", która nie nawiązuje, co prawda, do świata "Czaszek przodków", ale w dziedzinie powieści fantasy ma być dokonaniem podobnie nowatorskim i oryginalnym.

(mp)